

„Rzecz listopadowa”

Po wrocławskiej prapremierze „Rzeczy listopadowej”,* którą recenzowaliśmy niedawno, sztuka Ernesta Brylla, wydana ostatnio przez Instytut Wydawniczy PAX, została wystawiona jednocześnie w gdańskim teatrze „Wybrzeże” i w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Oto krótka relacja z jej łódzkiej inscenizacji.

JEST duża pokusa porównanie tych obu przedstawień — wrocławskiego i łódzkiego, bo sztuka Brylla jest frapującym dla teatru scenariuszem, w który można — przez odpowiednią inscenizację oraz aktorską interpretację tekstu — wpisywać różne rzeczy: zgodnie z Bryllem, obok Brylla czy nawet wbrew Bryllowi. Ale trzeba zwalczyć tę pokusę, bo zabrakłoby miejsca na ocenę spektaklu łódzkiego. To pewnie, że jest inne od wrocławskiego, nie tak doskonałe w swej artystycznej klarowności, ale chyba bliższe tego, co Bryll powiedział w swej sztuce i o swej sztuce.

MOŻE niekiedy razić niektórych widzów zbyt natężone pomalowanie, ale też nieco absurdalne mogąby stać się zarzut zbyt dużej czystości spektaklu; nawet jeśli ta czystość oznaczałaby jego walory artystyczne. Jak np. jedna z końcowych scen sztuki, odwołująca się — jak i inne — do „Wesela” Wyspiańskiego, która nie wymaga chyba takiej ustosunkowania inscenizacyjnej, jak w łódzkim spektaklu. Wprawdzie autor w programie do omawianego przedstawienia stawia gwałtowny nacisk na „choccholny problem”, pisząc, że próbuje m.in. opowiedzieć na przykład „jak wygląda u nas współczesny czad choccholo-ga tańca” — ale i w strukturze wiersza i w warstwie językowej analogia jest zbyt przejrzysta, by chciała mieć margines porzucić wyobraźni i domyślności widza. Zresztą w tej „choccholnej” scenie reżyser zrealizował jeden interesujący pomysł: buidog Artysty (grany cienko w ironiczno-groteskowej tonacji przez Kryształę Feldman) stoi na krześle, gorząc nad korymbusami się wraz z nim w choccholim tańcu parami reżyser wiernie poszedł tu za didaskaliałami wyspiańskiego, jak gdyby dyrygował tym współczesnym choccholim „tańcem niemożności”.

JEST i w tej scenie, i w znacznie słabszej, zbyt statycznej i anemicznej zbiorowej scenie 3 aktu III (skondensowany dramatycznie nasz „dzień powszedni” z jego absurdalnym zgiełkiem i bezsensownością słów i gestów, scena tak znakomicie zrobiona we Wrocławiu przez Skuszankę), w scenie V aktu („Sniło mi się...”), jak wreszcie w zapowiadającej taniec choccholi scenie 7 aktu II (w ironiczno-operowej konwencji napisany pamflet na paraliżujący każdy zryw wirus „niemożności”) — wyraźny ciąg naszej tradycji literackiej wyrażającej pewne stany i cechy narodowe, od „Kordiana” Słowackiego poprzez „Wesele” Wyspiańskiego, „Ferdynand” Gombrowicza aż po „Indyka” Mrożka. Stąd chyba — zarówno w przedstawieniu wrocławskim jak i łódzkim, jak też już przy pierwszej lekturze „Rzeczy listopadowej” — takie uczucie „zadomowienia”, „swojskości”.

SA sceny i ujęcia w Łodzi, skomponowane z mądrą dbałością o równowagę różnych ideowych akcentów spektaklu. Jedną z takich dominujących scen jest rozmowa Pierwszego i Drugiego (pod koniec III aktu) z Ojcem Panny Młodej; jest coś głęboko wzruszającego w tej scenie w postaci steranego pracą dla kraju starego działacza partyjnego, uginającego się pod ciężkim brzemieniem wielkich obowiązków i wielkiej odpowiedzialności — wszystko to jest w każdym ruchu, w każdym geście, w każdym drgnieniu twarzy Jerzego Przybylskiego.

W KLIMACIE i wymowie przedstawienia, o jego bliższych związkach z Bryllem niż spektaklu wrocławskiego decydują też w dużej mierze wykonawcy „chóru” tj. Pierwszego (Janusz Kubicki) i Drugiego (Eugeniusz Kamiński); przechodzą oni — jako postacie dra-

matu i jego komentatorzy — stopniową ewolucję: od ironii szatanów z Kordianowego „Przygotowania” aż po autentycznie zaangażowaną postawę solidarności z Kanalarzem (Włodzimierz Skoczylas) w sztuce uosobieniem gorzkiej mądrości, doświadczenia, ale też i patriotyzmu ludu Warszawy. Ci trzej, właśnie kończą spektakl zapaleniem świeczek w symbolicznej scenerii ostatniej sceny: z lewej spurpurowiała Nike, na wprost — poprzez wierzby bezlistne — jaśniejąca perspektywa, a na placu Teatralnym, historycznym i symbolicznym, płoną te trzy świece.

To, oczywiście, nie recenzja (o samej sztuce pisało się już u nas w recenzji książki i wrocławskiego przedstawienia) a jedynie impresje i refleksje spisane na gorąco po obejrzeniu łódzkiego spektaklu. Do „Rzeczy listopadowej” będzie okazja powrócić w relacji z innych realizacji sztuki, a po obejrzeniu kilku różnych przyjdzie się, być może, pokusić o pełniejsze opracowanie w oparciu o sceniczny żywot sztuki.

* Ernest Bryll — „Rzecz listopadowa”. Muzyka Andrzej Hundziak. Premiera w łódzkim Teatrze Powszechnym. Reżyseria Roman Sykała, scenografia Zbigniew Bednarowicz, choreografia Witold Borowski.